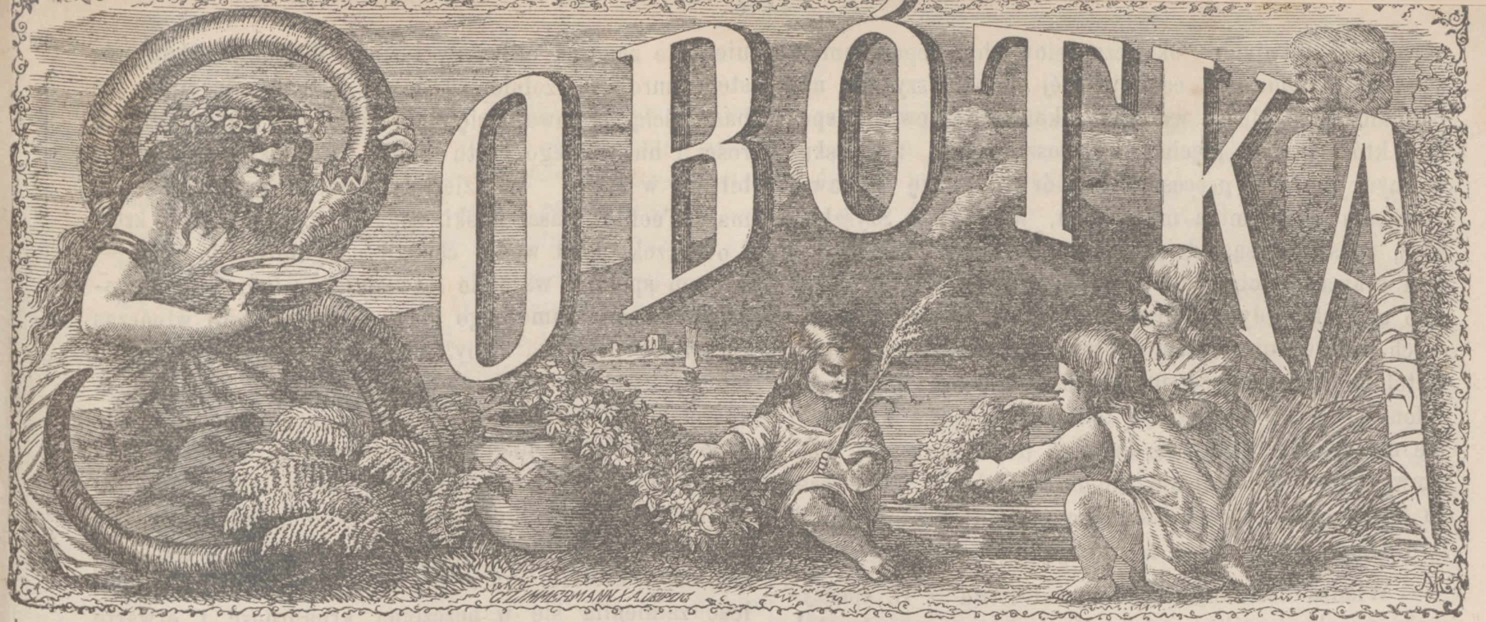


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 22. Poznań, dnia 28 maja 1870. Rok II.

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

I.

Tryumwirat.

Imię wielkopolskiego miasteczka D. nie zajaśniało nigdy na kartach dziejowych. Częstochowa wojennem bohaterstwem pozyskała rozgłos; Wągrowiec, uczepiwszy się sławnego Jakóba Wujka, razem z nim wyrobił sobie prawo do nieśmiertelności; Ryczywół, Pacanowo i Mosina ujemnemi strony zacofanego żywota na ogólną zasłużyły pamięć, — miasteczko D. nie miało nigdy sposobności do okazania marsowego ducha, nie wydało męża szerokiéj sławy, a doszedłszy do pewnego stopnia oświaty i rozwoju, nie mogło na rydwanie śmieszności do sarmackiego wjechać Panteonu. Prawda, że, podług sumiennych badań zgasłego niedawno proboszcza miejscowego, jeden z obywateli miasteczka D. został kanonikiem przy katedrze poznańskiéj i byłby z pewnością zasiadł na stolicy arcybiskupiéj, gdyby nie śmierć okrutna, która go zbyt wcześnie z tak zaszczytnéj zepchnęła drogi; prawda, że w bliskości miasteczka wznosi się ciekawy grobowiec pomarłych tam niegdyś dwóch Szwedów prawda, że aptekarz tamtejszy wynalazł wyborny środek przeciw reumatycznym cierpieniom, — ale wszystkie te osobliwości przed sądem ogółu, żadnego nie zyskały uznania. Szanowni obywatele miasteczka, mocno nad tak niesłusznem boleli zapoznaniem. Szczerze do rodzinnego przywiązani grodu, w nim jedynie zbiór wszelkich widząc doskonałości, starali się usilnie podnieść go w opinii publicznéj i historyczne nadać mu znaczenie. Na wyraźną ich prośbę podjął się pan Piórkiewicz, nauczyciel miejscowy, mąż pełen nauki i poczucia własnéj godności, napisać obszerny życiorys wyżéj wspomnianego kanonika, który dla uczonego świata miłą bezwątpienia będzie niespodzianką, skoro tylko szanowny autor z językiem łacińskim trochę się oswoi i z akt kościelnych, jako też z notatek zgasłego proboszcza koniecznych nabędzie wiadomości. Za staraniem gorliwych obywateli podniósł się na owym szwedzkim grobowcu kamień ze stosownym napisem, a zbawienny plaster reumatyczny, ku wielkiéj radości aptekarza, po całéj rozchodził się okolicy. Daléj, dzięki tym ambitnym popędom mieszkańców swych, doszło miasteczko D. do pewnéj zamożności; gdzieniegdzie stanęły domki murowane, ulice możliwą zajaśniały czystością, mały kościołek świeżą, białą przyodział sukienkę, a cichy cmentarz, gęstych pozbywszy się zarośli, spoczął pod cieniem brzóz białych i wierzb złotowłosych. Z poczucia dążeń jednolitych wyrodził się głęboki szacunek, jakim obywatele z D. względem siebie samych zawsze byli przejęci. Nie obyło się i tam wprawdzie bez stronnictw, zazdrości, drobnych ambicyjek i prywatnych nieporozumień, — ale, gdy o dobro ogółu chodziło, niknęła zawiść, niknęły przeciwieństwa, osobiste urazy zanurzały się na czas pewien w morze niepamięci, a wszyscy obywatele, w jedną złączywszy się całość, postępowali chętnie podług rady światłych i szanownych przewodników. Tak niezwykła w naszych stosunkach solidarność przyczyniła się znacznie do szczęścia i dobrobytu obywateli miasteczka. Jéj jedynie zawdzięczano rozwój i upiększenie rodzinnego gniazda,

szybkie załatwienie okolicznościowych nieporozumień z władzą rządową i, co najwięcéj dumą wszystkie napełniało serca, dosyć wczesne zakończenie pewnego sporu, który przed pięciu laty kosztownym, a bezskutecznym zagrażał procesem. Spór toczył się o kawał zagajenia; tak gmina miasteczka, jak i pan Szyszkiewicz, właściciel sąsiedniéj wioseczki równe do niego rościli prawa; byłoby więc z pewnością do sądowéj przyszło utarczki, gdyby nie wpływ rozsądny najznakomitszych mężów miasteczka, którzy wykazawszy współobywatelom bezzasadność uroszczeń, do dobrowolnego ich skłonili ustępstwa. Dzieło to ustaliło wpływ i znaczenie mężów tych; słuszną dla tego jest rzeczą, aby i łaskawy czytelnik bliżéj się z niemi zaznajomił, zwłaszcza, że w dziejach, które nieudolném piórem skreślić postanowiliśmy, niepoślednie odgrywają role.

Władza nad umysłami obywatelstwa z D. spoczywała w ręku trzech mężów. Na czele tryumwiratu stał, jak łatwo odgadnąć, proboszcz miejscowy, ksiądz Teofil P. Podług stereotypowych stosunków małomiejskich powinniśmy właściwie obok niego, jako współwładzców, dwie bardzo znajome postawić figury: doktora i nauczyciela! Nie chcąc jednak zboczyć od prawdy historycznéj, poświęcamy chętnie symetryę i zwyczajem ustalone formuły, a, zrzekając się wszelkiéj poetycznéj licencyi, spisujemy to jedynie, co było w rzeczywistości i co wiarogodni obywatele z D. za czystą podali prawdę. Miasteczko nie miało doktora ku wielkiéj zgryzocie mieszkańców. Mieszkał tam wprawdzie stary chirurg niemieckiéj narodowości, który w gwałtownych potrzebach nieźle umiał zaradzać, ale tenże, już to dla wieku, już to dla porządnego mająteczku, który sobie po wielu latach zabiegliwéj pracy uzbierać zdołał, już to wreszcie dla niedostatecznych, jak na nasze czasy wiadomości, właściwą praktykę całkiem zawiesił na kołku. Trzeba więc było zwykle o pół mili przeszło do powiatowego posyłać miasta, bo żaden z młodych lekarzy, dla zbyt nielicznego sąsiedztwa i niebezpiecznéj konkurencyi głośnego na cały powiat doktora, do miasteczka D. przenieść się niechciał. Nauczyciel zaś, albo jak go powszechnie nazywano „pon nauczyciel“, wspomniany powyżéj Piórkiewicz ani wiekiem, ani majątkiem, ani wiadomościami podobnego, jak szanowny ksiądz proboszcz nie zdołał sobie wyrobić znaczenia; tworzył on raczéj razem z wielebną panią Kogucińską, siedemdziesięcioletnią gospodynią proboszcza, radę gabinetową tegoż dostojnika i zamyślał powoli, powoli ministeryalnéj dorobić się teki. W chwili jednakże w któréj nasze rozpoczyna się opowiadanie, świecili przy boku księdza proboszcza w całéj pełni znaczenia dwaj najbogatsi i najmędrsi obywatele miasteczka: kupiec towarów kolonialnych i oberżysta zarazem, pan Baryłkiewicz i pan Matusiński, piekarz na całą zawołany okolicę. Poświęćmy słów kilka szanownemu tryumwiratowi, który w obrębie swéj władzy równie czuł się potężnym, jak niegdyś Cezar, Pompejusz i Crassus w zakresie całego świata.

Ksiądz proboszcz był to mężczyzna lat czterdziestu i kilku, średniego wzrostu, ale dobréj tuszy; oczy małe, siwe błyszczały życiem i energią, nos szeroki lecz kształtny, drobne przycieniał usta, a włosy ciemne i rzadkie, niedbale znaczną okrywały łysinę. W jego obejściu prostém, surowém, żołnierską nawet odznaczającem się rubasznością, malowało się złote serce obok sielskiéj szczerości i niezwykłego hartu duszy. Charakter ten wyrobił się w życiu. W dziesiątym wieku swego istnienia mały Teofilek pasał gąski, zaganiał parę nędznych krów i owieczek, nosił wodę, chodził po gałęzie do lasu, — słowem spełniał wszelkie łatwiejsze posługi w domu rodzica, miernie zamożnego gospodarza. Był to wtenczas chłopczyk potulny, cichy, nieśmiały, zafukany, krótko mówiąc chłopiec słaby na umyśle i ciele. Za radą nauczyciela i księdza, a z pomocą zacnego dziedzica, oddano go do szkół miejskich, umieszczono u jakiéjś ubogiéj wdowy, która mając jakie takie utrzymanie ze szczupłego grona niezamożnéj szkolnéj młodzieży, na wszelkie im zezwalała wybryki. Teofilek przeinaczył się téż w krótkim czasie nie dopoznania; jego nieśmiałość zamieniła się w bezczelną krnąbrność i otwarte zuchwalstwo, a czyste jego obyczaje skażone zostały nad wiek przechodzącą rozpustą; pomimo wielu zdatności, prawie żadnych w nauce nie uczynił postępów. Wskutek takiego postępowania rychło utracił względy dziedzica i księdza, a ponieważ ojciec o własnych siłach nie mógł go dłużéj utrzymać, nie pozostawało mu nic więcéj, jak tylko powrócić do pługa i nędznéj chaty ojcowskiéj. Nieszczęście to wywołało nowy przewrót w jego charakterze. Z rozpaczliwą energią rzucił się do pracy; piętnaście lat mając zaledwie, rozpoczął straszliwą walkę z nędzą i moralnym upadkiem, noce bezsenne trawił nad nauką, a utrzymując się jedynie z własnéj pracy, znosił głód, zimno i najdotkliwsze ubóstwo. Niestety! ileż to takich piętnastoletnich mamy bohaterów, którzy najpiękniejsze chwile młodości łzami i krwawym oblewają potem!... Żelazny hart duszy, niezłomna siła woli idąc w parze ze zamożnością, talentem i wychowaniem domowem, do wyższego podążając celu, olbrzymów stworzyć jest zdolna, — pozbawiona środków materyalnych, nie oparta na żadnych, a częstokroć na zgubnych zupełnie zasadach i wyobrażeniach, zużyta li tylko do zarobienia codziennego chleba, od moralnego jedynie zabezpieczyć może upadku i tam zwłaszcza, gdzie ją słabe wspierają zdolności, mierne wywalczyć zdoła stanowisko. A ileż to tych gladyatorów w tak ciężkiéj upada walce!... Nie rzucajmy na nich kamieniem, bo nędza jest bramą do wszelkiego prowadzącą zepsucia, bo nauka bez wychowania częstokroć najlepszy charakter w najprzewrotniejszy zamienia, bądźmy wyrozumiałymi i starajmy się złemu silną położyć tamę. Po pięciu latach mozolnéj pracy zakończył Teofilek nauki szkolne i na herkulesowych znalazł się rozdrożach. Od dawna żywił w sercu swém marzenie złotéj przyszłości; widział się zawołanym lekarzem, posiadającym znaczne dochody i nie małe w kraju znaczenie, widział się przy boku ukochanéj istoty, widział się w gronie ukochanéj rodziny i zaufanych przyjaciół. Teraz dopiero ujrzał przepaść, dzielącą go od szczęścia, od téj w marzeniach wypieszczonéj męczeństwa swego nagrody. Nie posiadając funduszy, naglony proźbami ślepych na dobro syna rodziców, z rozdartem sercem czarną przywdział sukienkę. Tysiące naszéj młodzieży podobny los spotyka; jedni

zapomną powoli o złotych snach młodości i zwolna do swego zastosują się przeznaczenia, drudzy zaś z wielką szkodą pańskiéj winnicy, przez żywot cały poczucie zwichniętego dźwigać muszą szczęścia. Teofil z energiczném zaprzaniem samego siebie zerwał zupełnie z przeszłością, z niezłomną odwagą poddał się losowi i z zapałem rzucił się do pracy, aby i w tym kierunkn obszerne pole działania zająć w przyszłości. Ale i tutaj gorżki czekał go zawód. Wysłany na probostwo do D., dwadzieścia lat blizko w téj małéj spędził mieścinie bez widoków ważniejszéj, siłom jego i chęciom odpowiedniejszéj pracy. Nie upadł jednak na duchu; sam stworzył sobie zakres działalności, usilnie pracował nad powierzoną sobie garstką ludu i żywém słowem i piórem prowadził ją do szczęścia. Tak liczne jednak zawody nie pozostały bez wpływu na jego usposobienie; wyrodziła się w nim obok najlepszego serca pewna drażliwość, cierpkość, bezwzględność nawet, z jaką plany swe i zamiary do celu doprowadzać się starał, pewien rodzaj rubasznéj a drobnostkowéj niechęci względem tych, którzy mu na drodze stanąć usiłowali. Dziwić się temu nie można; kto tyle utracił, z rozpaczą bronił tego, co mu jeszcze pozostawało. Takim był ksiądz Teofil, proboszcz i pierwszy dygnitarz miasteczka D.

Kupiec towarów kolonialnych i hotelista, pan Filip Baryłkiewicz postarał się widocznie o to, aby nazwisku swemu otwartego nie zadawać kłamstwa. Była to sobie baryłka nizkiego wzrostu, pękata, okrągła, z ogromną głową i potężnym, ogórkowatym nosem. Oczy małe, czarne tryskały życiem i wesołością, genialne czoło prawie całą zajęło czaszkę, a gęste kępy siwawych włosów z poza niemałych uszu buńczucznie piętrzyły się w górę; pod szczeciastym, przystrzyżonym wąsem spoczywały wielkie usta, ciągłym otwarte uśmiechem, a tłusty podbródek uwolnił się raz na zawsze z pod jarzma czarnéj chustki i białego jak śnieg kołnierzyka. Mieszczanie i okoliczni właściciele różne z téj przyczyny nadali mu przydomki. Pan Filip był zawsze w brylantowym humorze, zawsze miał jakieś koncepta i facecyjki na ustach, rzeczy najpoważniejsze traktował żartobliwie i z pewnym rodzajem zręcznie maskowanéj ironii, a gruby i głośny śmiech jego co chwilę rozlegał się po domu. Nie był jednak bynajmniéj dobrodusznym; owszém przebiegły i chytry umiał się do wszystkich zostosować osób i okoliczności; z podziwienia godną polityką wyzyskiwał słabości ludzkie, wszelkie stosunki na swoją obracał korzyść, a pod maską uśmiechniętéj twarzy, ukrywał równie dobrze przyjaźń i nienawiść, radość i niezadowolnienie i tam tylko, gdzie komedya była niepotrzebną, względem rodziny i domowych, prawdziwe okazywał uczucia. Pan Filip był najbogatszym z obywateli miasteczka D. Wybudował sobie dom schludny, wygodny, o jedném piętrze, z obszerném podwórzem, na którem mieściła się stajnia, remiza, obora i chlewik. W wielkiéj parterowéj izbie znajdował się dobrze zaopatrzony handel, połączony ze składem wódki; dalej dwa milutkie, biało tynkowane pokoiki, ozdobione kolorowanemi litografiami i we wszelką zaopatrzone wygodę dla przejezdnych gości i łaskawych sąsiadów, którzy co święto po nabożeństwie w wielkiéj zgromadzali się liczbie na cygarko, kieliszek winka, szklaneczkę piwka, skromną zakąskę i partyjkę ulubionego maryasza. Na piętrze było kilka gościnnych pokoi i własne pana Filipa mieszkanie. — Dla swéj uprzejméj wesołości, dla sporo uzbieranego grosza, którym chętnie, choć nie bez grubego procentu, dobrym przysługiwał się znajomym, zyskał pan Filip niemałą wziętość w okolicy i powszechne w mieście uszanowanie. Zchodzono się do niego po radę i pomoc, a on każdego suplikanta poczęstował kieliszkiem wódki lub wina, obdarzył dobrém słowem i pieniężnym często zasiłkiem, wesołością smutki rozpędzał i chętnie do dalszych ofiarował się usług. Przy każdéj jednak podobnéj sposobności nie zapominał i o własnéj kieszeni, a głaszcząc miłość własną klientów, uniżając się w ich oczach, a nie przyjmując pochwał i podziękowań, zyskiwał ich przyjazn i wziętość. Poczciwy, kochany, rozkoszny pan Filip!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drezno.

(Dokończenia.)

Drezno, 10 czerwca 186...

Wracając z różowego ogrodu w Strehlen, wypadło mi przejechać około zoologicznego ogrodu. Choć mnie nie bawią zwierzęta-niewolniki, pokusiłem się na kilka chwil do zwierzyńca, żeby porównać drezdeński z innemi, które dawniéj widziałem. Prawie każdy ma coś osobliwego, n. p. berliński to, że wszystkie zwierzęta w nim wymierają. I w drezdeńskim znalazłem dużo opustoszałych klatek, ale za to wynagradzał mnie widok czterech młodych lwów, które jak kocięta wyprawiały harce około poważnéj, jakby w zamysłach leżącéj lwicy. Zresztą jak indziej tak i tu chodzisz od numeru do numeru i spotykasz tylko dawnych znajomych. Ja o tyle szczęśliwie trafiłem, że właśnie były także w ogrodzie dwie żeńskie pensye i jedna męzka, które różnemi okrzykami wielką owacyę przyniosły zręczności małp i małpiąt w drucianéj klatce się uwijających po swojemu. Zauważyłem także potężnego głuszca, którego ani w Berlinie ani w Kolonii, ani Frankfurcie nad Menem nie mają.

Nie bawiąc się dłużéj w żywą historyę naturalną, pospieszyłem co sił stało znów do muzeów, żeby zakończyć krótkie zwiedzanie Drezna poglądem na galeryę obrazów.

Tysiące a tysiące ludzi bywa w tym przybytku sztuki i jéj chwały, ale któż może powiedzieć, że go zwiedził i poznał jak należy; chyba jeśli komu stać czasu, żeby dzień po dniu zwolna i z zupełnym skupieniem myśli wedle katalogu studyował numer po numerze. Reszta, co we dwie lub trzy godziny przebieży galeryą, cóż mogła widzieć i czegóż się nauczyć? czy zdolna jest objąć okiem i duchem i wrazić w pamięć tyle piękna i doskonałości! Nie podobno oczywiście; więc też zdawać by się mogło, że stracone są chwile liczące się tylko na godziny, dla galeryi poświęcone.

Ale nie tak jest w rzeczywistości. Każdy mniéj lub więcéj wykształcony człowiek, zanim mu się zdarzyła sposobność zwiedzenia galeryi samejże, już bądź ze sztychów, bądź z fotografii zna główne arcydzieła, i bez katalogu je odszuka. Mnie, choć się nie pomału spieszyłem, z głównych arcydzieł, uszła uwadze tylko tycyanowa Wenus, reszta biła w oczy od razu, a jako znajoma przynęcała oko. Jest to skutek rozpowszechnienia znajomości sztuki za pomocą sztychów i fotografii. Jak wiele innych sposobów nauki i oświecania, tak i ten u nas jeszcze prawie całkiem zaniedbany. Za kilka talarów można przecież sprawić sobie wybór galeryi drezdeńskiéj.

Nie raz zdawało mi się, że gdym zobaczył to w rzeczywistości, o czém mi opawiadano lub com zaznał z obrazu, z opisu, niedorównywało moim wyobrażeniom, t. j. temu obrazowi, który sobie wedle danych w wyobraźni urabiałem. Tu jednakże pierwszy raz w życiu pobitą została wyobraźnia moja na głowę, — stanąwszy przed Madonną Rafaela. Czy oczy te! rzeczywiście sporządzone są ręką ludzką i za pomocą pędzla i troszkę farby? Skądże w nich ta wzniosłość połączona z słodyczą, całe niebo dziewiczości a cała ziemia macierzyństwa? W życiu zdarza się wzrok taki spotkać niekiedy, ale to trwa chwilę i przepada a potrzeba wzniecić najświętsze uczucia, żeby chwilę tę jaśniał; tu płynie na ciebie nieustannym potokiem błogości. Nie będę chropawego pióra wodził w opisy tego arcydzieła, bo gotów kto od pędzla zaprzeczyć słowom moim, ale ja com opisał tom widział, co jest, niech sądzą malarze i w sztuce ćwiczeni. Niech téż oni Holbeina Madonnę podnoszą do godności drugiego klejnotu galeryi, mnie ani jéj prawda realna ani idealna porwać ani zachwycić nie może, a dopieroż Chrystus na ręku Madonny Holbeina, jakby niedorosłe, albo całkiem schorzałe dziecię, czy może pójść w porównanie z Chrystusem Rafaela o pełnych kształtach, w pełni siły, a co go najbardziéj zdobi o owém śliczném matczyném oku. Żeby Włochom nie ustępować zupełnie, potrzeba było Madonny niemieckiego pędzla, i otóż znaleziono a ludzie uwierzyli. Nie chcę tém bynajmniéj ujmować sławie Holbeina, ale nawet dwie ściany nie starczą dla mnie, żeby go od Rafaela odsunąć w przyzwoite oddalenie. Prócz Madonny Rafaela posiada galerya kilka gobelinów, wedle kartonów Rafaela wykonanych w Brukseli. Podobneż obicia posiada muzeum berlińskie, a oryginalne kartony dostały się aż do Kensington-Museum w Londynie. Zresztą ile nazwisk włoskich zasłynęło pędzlem po szerokim świecie, prawie wszystkie musiały haracz zapłacić galeryi drezdeńskiéj; aż się człowiek zdumiewa, jakie siły zgromadzić potrafiły tyle skarbów do stolicy małego kraju. Tymczasem historya uczy nas, że galerya drezdeńska zawdzięcza główne nabytki elektorom saskim, którzy oraz byli królami polskimi i ministrom saskim, którzy oraz w Polsce zajmowali stanowisko, umożebniające im rozporządzanie znacznemi funduszami. I tak August III będąc jeszcze następcą tronu w elektorstwie saskiém, a podróżując we Włoszech, widział w Placencyi Rafaela Madonnę, ale dopiero jako król polski nabył ją za 60,000 tal. Główna część włoskiego oddziału galeryi, obrazy Corregio'a, Tizian'a, Paolo'a Veronezy i wszystkie ze szkoły bonońskiéj, w ogóle 100 obrazów pochodzi ze zbioru księcia Franciszka z Este-Modeny, od którego je August III ryczałtem nabył jako król polski za 100,000 czekinów. A zatém galerya drezdeńska i pod tym względem ciekawą jest dla Polaka i wzbudzać w nim musi afekt dumy, że i jego pieniądze tkwią w zbiorze sławnym na świat cały.

Kilka godzin zabawiwszy w galeryi, uczuje się takie znurzenie i ciężar wrażeń, że z rezygnacyą i pośpiechem wychodzi się zażyć świeżego powietrza do ogrodu, w podwórzu czworobocznego budynku założonego, lub na plac nad Elbę, gdzie z tarasu brühlowskiego używa się rozległego i pięknego widoku na miasto, za Elbę, na ruch na rzece i na lesiste a górzyste brzegi w oddaleniu, gdzie z ciemnéj zieleni drzew i ogrodów wynurzają się jasne ściany pałaców i wil. A właśnie widok stanowi główną cechę i sławę brühlowskiego tarasu, bo zresztą ani sztuka ani natura na miejscu samém nie stworzyły nic, coby zwracało uwagę obcego. Stary to zapewne wał forteczny, od Elby podmurowany kamiennemi płytami. Od strony zamkowego placu szeroki, im daléj tem się bardziéj zwęża i potem ku Belwederowi znów się rozszerza, w ogóle ma długości 1000 stóp. Od strony placu zamkowego prowadzą nań piękne, szerokie, kamienne wschody. Na chodniku zajmującym całą szerokość wierzchnią, wedle możności po jedném lub kilku rzędach drzew posadzono, które nie osobliwie wzrastać mogą dla naturalnego braku wilgoci, która zatrzymywać się nie może w wale wyniesionym nad poziom. Mimo to imponuje taras prostotą i ogromem, gdy n. p. wzgórze Liebiga w Wrocławiu, także przerobione z dawniéjszéj fortyfikacyi, błyszczy przeróżnemi ozdobami sztuki. Wolę przyjrzeć się kopcowi Liebiga, jak tarasowi brühlowskiemu, ale wolę przechadzać się i używać widoku z tarasu jak z wzgórza tego.

Jedną z największych ozdób miast w ogóle, a zwłaszcza stolic, stanowić zwykły kościoły. Jest ich w Dreźnie 7 katolickich i 13 ewangielickich, ale że wszystkie nie stare, a co do stylu sięgają albo późnego renesansu albo całkiem nowiuteńkiéj gotyki, brak im owéj woni starożytności i historyi, która obcego sprowadza, pomijając już pobożne względy, do starożytnych przybytków bożych. Już poprzednio miałem sposobność wspomnieć o katolickim kościele dworskim, którego wieżę teraz restaurują. Budował go August III wedle planu Włocha Gustavo Chiaveri, w stylu renaissance, bardzo ozdobnie na zewnątrz, gdy tymczasem wnętrze naszym zwłaszcza pojęciom o cechach kościoła katolickiego bynajmniéj nie odpowiada, tak tam pusto i goło. Nie twierdzę ażeby to było błędem, ale przyzwyczaić trzeba oko zbałamucone rozmaitością ozdób architektonicznych, ołtarzy, obrazów i t. p., czego tu wcale niema. Kościół tworzą dwa owalne zręby, jeden z drugim, a wnętrzny łączy się z zewnętrznym przez arkady w dolnéj części muru wewnętrznego zrębu zmurowane, tak iż, niby w gotyckim kościele, masz pięć naw: jednę środkową, dwie zewnętrzne, a między środkową a zewnętrznemi po jednéj wązkiéj, podobnéj do kurytarza, pod sklepionym i przełamanym w arkady murze wewnętrznego zrębu. W wewnętrznéj nawie górą już nie pamiętam, jedno czy dwa piętra lóż, i bliżéj ołtarza wielka loża królewska, do któréj wprost z zamku przechodzą po ganku rzuconym na bardzo śmiałem sklepieniu. W czterech rogach kościoła jest po kaplicy jednéj; ciche to ustronia dla skromnéj pobożności celnika. W samo Boże Ciało miałem zręczność być na nabożeństwie, celebrowanem przez jakiegoś biskupa. Cała rodzina królewska była na tem nabożeństwie, i szła za procesyą po kościele, którego nawy dla wygody królewskiéj i uniknięcia natłoku zamykają szpalerami wojska, co nabożeństwu nadaje dziwnie doczesną cechę. Za to muzyka i śpiew wyborny, ale ludzi w kościele mało, a modlą się uszykowani w dwa odrębne ordynki. Tam po jednéj stronie kobiety, po drugiéj mężczyzni; nad porządkiem czuwa laska Szwajcarów. Z przyjemnością zauważyłem na drzwiach kościoła przybitą kartę z zawiadomieniem, że cztery razy do roku odbywa się w nim nabożeństwo dla Serbów w Dreźnie i okolicy zamieszkałych. Uwiadomienie to dano po niemiecku i po serbsku, z czego wnosić trzeba, że są tam jeszcze Serbi czyli Łużyczanie, którzy albo tylko po serbsku mówią i czytają, albo przynajmniéj wolą mówić i czytać językiem ojczystym jak obcym, i to nie tylko w okolicy ale i w samém



Handlarz koni.

Dreźnie. Chodziłem tedy po mieście z podwójnie natężoną uwagą, czy nie posłyszę gdziekolwiek pokrewnego narzecza. I znalazłem je, ale niestety tylko na targu za straganem u przekupek i u służących targujących masło i leguminy.

Katolickie gimnazyum w Ostrowie.

Multos velut inglorios et ingnobiles oblivio obruet — hi posteritati narrati et traditi superstites erunt.
Tac. Agric.

Dnia 14 kwietnia minęła dwudziestopięcioletnia rocznica istnienia katolickiego gimnazyum w Ostrowie. Z powodu zaś nieobecności uczni i niektórych profesorów podczas wakacyi wielkanocnych uroczysty dnia tak pamiętnego obchód odbędzie się dopiero w końcu maja, aby jak najliczniejszy zastęp błogich skutków tej szkoły tak bezpośrednio doznających jak w ogóle jej doniosłe znaczenie umiejących cenić mógł się około tej karmicielki nauk zgromadzić i z całą godnością ją uczcić. Jeżeli więc słuszne i uzasadnione są powody do powszechnéj radości z owoców, jakie ta szkoła dotychczas wydała, jeżeli ta rzadka uroczystość ma być wiernym objawem wysokiego nauk cenienia, czyż godziłoby się przy téj sposobności nie uprzytomnić sobie tych mężów, którzy téj szkole byt nadali? Zaiste nie, bo w tym laurowym wieńcu chwały i zasług brakowałoby dwóch ozdobnych gałązek i cała uroczystość nie byłaby oddźwiękiem harmonijnego nastroju.

Nie można wprawdzie tutaj przemilczeć, że gimnazyum w Ostrowie zawdzięcza istnienie swoje zbiorowym usiłowaniom i hojnym składkom wszystkich obowiązek swój względem społeczeństwa godnie pojmujących, lecz w czyjéj duszy nietylko powstała pierwsza myśl założenia gimnazyum, lecz zarazem i silne postanowienie urzeczywistnienia tego pomysłu, a kto następnie w głębokiém poczuciu obowiązków względem społecznych potrzeb z całą ofiarnością i nieograniczoném poświęceniem do rozwoju, wzrostu i dojrzałości téj myśli skutecznie się przyczynił, kto zatém z rodzicielem téj myśli wspólnie wszystkie trudności pokonywał, aby myśl w czyn zamienić, ci dwaj są twórcami dzieła, wielki pożytek społeczeństwu przynoszącego, im się należy za nie nasza wdzięczność, bo potomności dobrze się zasłużyli.

Otóż w téj mierze szłuszne prawo do naszéj czci i wdzięczności mają ś. p. ks. Jan Kompałła, proboszcz ostrowski i zarazem dziekan ostrzeszowski i ś. p. Wojciech Lipski, dziedzic Lewkowa. Pierwszy pełen szczeréj i serdecznéj prostoty i skromności, o dobro swych owieczek troskliwy kapłan wielką powszechnie posiadał miłość. Będąc przytém dobroczynny, towarzyski, gościnny, powagę z wesołością łączyć umiejący, słowem i czynem każdemu dopomagający, niepospolity wpływ na swych parafian wywierał. Drugi zaś bystrością rozumu i zmysłem organizacyjnym obdarzony, umiał każdéj sprawie właściwy i odpowiedni nadać kierunek, a mając ciągle ogólne dobro na sercu, częstokroć z uszczerbkiem własnego mienia, będąc nadto przystępnym i uczynnym dla każdego, przyjacielskim, gościnnym i ujmującym, śmiało rzec można, był on nietylko duszą powiatu, ale nawet po za granice tego sięgająca czynność jego dobrego skutku i powodzenia zawsze doznawała. Głęboko czując niedomagania i niedostatki społeczeństwa starał się poruszać wszystkie sprężyny, aby prawdziwa pomyślność przeniknęła wszystkie stany i między niemi się utrwalała.

Pomysł więc tych dwóch tak szlachetnych mężów sprawą ogółu się powodujących, niepozornego blasku i samolubnéj chwały dla siebie, lecz trwałego szczęścia dla innych szukających, nietylko silny odgłos w sercach dobrze czujących znaleść, ale nawet szczerego uznania, zachęty i poparcia u ludzi dobréj woli doznać musiał. Tak się téż zwykle działo, a następująca okoliczność jest tego dowodem.

Byłoto roku 1841*), gdy podczas pięknéj jesieni nad wieczorem siedząc sobie czcigodny ksiądz Jan Kompałła z ówczesnym rektorem szkoły miejskiéj a zarazem swym domowym przyjacielem**) w ogrodzie z prawdziwym zadowolnieniem spoglądał na dom szkólny za jego usilném staraniem przed dwoma laty wykończony. Gdy rektor zwrócił proboszczowi uwagę na to, że dom ten jest za przestronny i więcéj na gimnazyum stosowny, zamyślił się nieco sędziwy pleban, a potém rzekł do swego towarzysza: wiesz, że treść do moich kazań nastręcza mi zawsze jaka najbliższa okoliczność bezpośrednią styczność z potrzebami i moralném usposobieniem parafian moich mająca. Dziś jest sobota, a jeszcze nie obrałem sobie materyi do jutrzejszego kazania, otóż właśnie za łaską bożą nasunęła mi się ważna myśl, w któréj się mieści doniosła i pożyteczna sprawa, o niéj jutro mówić będę. Na tém skończyła się rozmowa i każdy po szczerem pożegnaniu udał się do swego mieszkania.

Nadeszła niedziela, a gdy wierni parafianie w kościele już byli licznie zgromadzeni, poważny proboszcz wstąpiwszy na kazalnicę i ewangelię świętą przeczytawszy zaczął w bardzo przystępny sposób mówić o wielkich korzyściach nauki, uważając ją jako główną podstawę dobrego tu na téj ziemi powodzenia, a w dalszym przemowy swojéj toku mniéj więcéj tak się rozwodził: Otóż w Szląsku i innych prowincyach są księżmi, sędziami, profesorami, lekarzami i innymi wysokimi urzędnikami mężowie z wiejskiego stanu, a są to światli i krajowi bardzo pożyteczni ludzie. Pochodzi to ztąd, że rodzice każdy oszczędzony grosz wolą na wykształcenie swych synów łożyć, niż go na błahe zachcianki zmarnować. Większa téż tam między ludem jest zamożność, bo tam większa panuje oświata, a i wy do tego samego stopnia pomyślności wznieść się możecie, bo Bóg wszystkim nisko i wysoko urodzonym jednakowe udzielił zdolności, a do nauk każdy równe ma prawa. Jeżeli więc usłuchacie mojéj rady, to w niedługim czasie i w naszém mieście gimnazyum mieć będziecie, gdzie synowie wasi na uczonych ludzi bez wielkich kosztów kształcić się będą. Ale wykonajcie zaraz to, co wam radzę: dopomożcie mi do wybudowania gmachu gimnazyalnego, wy więc mieszczanie znoście oszczędzony grosz, a składać go będziemy, wy zaś wieśniacy zwóźcie kamienie, drzewo, cegły, piasek, a za błogosławieństwem Bożem stanie wkrótce budynek, w którym synowie moich kochanych parafian pożyteczne nauki pozbierać będą. Amen.

Słowa tak jasno i przekonywająco z głębi duszy czcigodnego proboszcza wypowiedziane, trafiły do serc słuchaczy. Ziarno padło na urodzajną rolę, bo zasiew ten odbył się wobec Boga, każde zbawienne przedsięwzięcie błogosławiącego. Po skończonem nabożeństwie zaczęły się gromadki o treści co tylko mianego kazania mówiących i radzących na cmentarzu tworzyć.

Wrócił téż ksiądz proboszcz z kościoła do swego mieszkania w towarzystwie swego domowego przyjaciela, który mocno się dziwiąc śmiałości powziętego przez proboszcza zamiaru, zwracał mu zarazem uwagę na wielkie w téj mierze z różnych powodów trudności. Lecz pro-

*) Pos. Zeitung 202 Jahrg. 1867.
**) Blümel.

boszcz ufny w powodzenie dobréj sprawy, mało zważając na takie przedstawienia, zaprasza gościa, aby z nim zasiadł do obiadu. Wtém zgłasza się ośmiu sołtysów do proboszcza celem rozmówienia się z nim, a jak zwykle uprzejmie przyjęci, Biegański, sołtys z Krempy, w ich imieniu tak się odezwał: Kazanie dzisiejsze księdza dziekana trafiło do przekonania naszego, usłuchaliśmy więc dobréj jego rady i oto na wybudowanie gmachu gimnazyalnego zebraliśmy 19 tal. 11 sgr. a i materyały budowlane niedługo zwozić będziemy.

Ta szczera wieśniaków ochoczość i gotowość do łez poruszyły proboszcza, a podziękowawszy im za taki datek, przyniósł skrzyneczkę, włożył najprzód do niéj w ich przytomności wręczone sobie pieniądze, a potém wyjął ze swego biórka list zastawny z kuponami na 1000 zł. pol. i włożył go do téj saméj skrzyneczki, mówiąc: tutaj każdy na ten cel zebrany pieniądz chować będę. Sołtysi pokłoniwszy się swemu kochanemu proboszczowi, który serdecznie z nimi się pożegnał, wyszli.

Gdy ksiądz Kompałła chciał skrzyneczkę na klucz zamknąć, wchodzi w téj chwili Aron Berliner, ze swéj bezinteresownéj uczynności znany i z dowcipu lubiony kupiec w Ostrowie z jakąś prośbą i to nie własną do dziekana, a ten spełnienie takowéj od pewnéj na gimnazyum składki zawisłem czyni. Berliner uniewinnia się tém, że nie ma pieniędzy przy sobie, a gdy dziekań oświadczył mu swoją gotowość do pożyczenia, rzekł kupiec: włoż ksiądz dziekan rękę tam do owego worka na stole, mieszczącego w sobie pieniądze na bieżące wydatki, a objąwszy dobrze ręką ile z niego wyjmiesz, tyle przeznaczam na gimnazyum. Stało się, policzono pieniądze, a było ich 17 tal. 25 sgr., które do skrzyneczki włożono.

Gdy potém zabierano się do obiadu, przybywa szczęśliwym zbiegiem okoliczności ś. p. Lipski, dziedzic Lewkowa, do swego przyjaciela dziekana Kompałły, a dowiedziawszy się z ust jego o zamiarze założenia gimnazyum w Ostrowie, tak dalece natychmiast przejął się tą zbawienną myślą, iż do skarbonki zaraz złożył w gotówce 50 tal. i oprócz tego 200 sztuk drzewa budulcowego i 12 tysięcy cegły ofiarował, nadto jako członek do komitetu budowlą się trudniącego przystąpić stanowczo przyrzekł.

Otóż ledwie trzy godziny upłynęły od wynurzenia myśli swym parafianom przez księdza Kompałłę w kościele, a już takowa zaczęła się w czyn wcielać, bo myśl ta zrodziła się z najszlachetniejszych pobudek, płynących z gorącéj miłości podniesienia człowieka do wskazanéj mu przez Boga godności i do rozbudzenia w nim jasnego pojęcia celów, jakich jedynie przez oświątę dopiąć jest zdolny. Lecz mimo swéj wielkiéj żywotności i zbawiennych skutków, jakie szczęśliwy pomyśł księdza Kompałły w sobie mieścił, mimo to, że tak niespodziewane ujawnienie się jego wszystkie stany, bo kapłański, szlachecki, kmieci i mieszczański z wielką radością natychmiast powitały i, rzec można, już w dzień narodzin téj myśli znaczne podarki złożyły, mimo to, że książęta Radziwiłłowie z Antonina oprócz skorego złożenia hojnéj składki, swoje pośrednictwo między zwierzchnością ofiarowali, przedsięwzięcie to atoli napotykało na rozliczne trudności, które odtąd ksiądz Kompałła i Wojciech Lipski całą mocą nieugiętéj swéj woli pokonywać musieli. Ich rzeczą bowiem było nietylko powszechny w téj sprawie udział rozbudzić i wezwaniem do składek się zająć, lecz co najważniejsza, użyskać od rządu zezwolenie na wybudowanie gmachu gimnazyalnego.

Jeżeli zaś ci dwaj gorliwi mężowie wpływym swoim wszystkich o dopięciu celu wątpiących przekonać i ufność w powodzenie rzeczy wzniecić w nich potrafili, to wszelkie odezwy i wnioski tak powiatu jak miasta reprezentowanego wówczas w osobie burmistrza Augustyna, przedsięwzięciu mocno przychylnego, nie zdołały rejencyę przekonać o koniecznej potrzebie założenia gimnazyum w Ostrowie, gdyż ta za stosowniejsze do tego miejsce uważała Krotoszyn, w tym samym czasie o gimnazyum się starający. Lecz ksiądz Kompałła ufny w ewangieliczne słowa, „kto puka, temu otworzone będzie“, nie ustawał wszędzie kołatać, gdzie tylko przychylność dla swego przedsięwzięcia wyjednać i środki do wykonania pozyskać się dały, a i Wojciech Lipski, uważając rzecz tę za główne zadanie życia swego, usilnego dokładał starania, aby wszystkie zapory usunąć, wszystkie zwalczyć trudności. Każdy więc z nich nie szczędząc ni siebie, ni własnéj kieszeni, działał według możności.

Nie zważając przeto bynajmniéj na nieprzyjazne okoliczności, zarządzili oni zwożenie materyałow budulcowych, co téż szybko i ochoczo nastąpiło.

Gdy się to działo, ówczesny naczelny prezes księstwa Poznańskiego hr. Arnim podczas objazdu swego po prowincyi wstąpił téż do Ostrowa i odwiedził księdza Kompałłę w towarzystwie landrata i burmistrza, a spostrzegłszy przez okna probostwa materyały w znacznéj ilości zwiezione, zapytał dziekana o ich cel i przeznaczenie, odebrawszy zaś odpowiedź, że gimnazyum ma być budowane, zadziwił się mocno hrabia Arnim, mniemając, że dla małéj liczby szlachty w owym zakątku zamieszkałéj bardzo szczupły zastęp uczniów nowe gimnazyum mógłby odwiedzać, i dla tego rząd wcale się nie zgadza na taki projekt. Ale zarzut naczelnego prezesa odparł dziekan tém twierdzeniem, że liczny stan kmieci w téj okolicy dostarczy uczniów, a ci uczyć się będą i może pilniéj, niż synowie szlachty; „a więc budować będziemy“ były ostatnie dziekana słowa, po których hrabia Arnim uprzejmie z dziekanem się pożegnał.

Otóż znowu chłodny i niepomyślny wiatr zawiał. Ale jak odważny sternik nie tracąc nadziei i przytomności użyciem wszystkich środków natęża swe siły, by do lądu przybić, tak téż i ksiądz Kompałła i Wojciek Lipski nie dając się zrazić żadną przeszkodą i chłodną odprawą, nie ustawali w obmyśliwaniu wszystkich sposobów ku przywiedzeniu rozpoczętego dzieła do skutku. Wytrwałością i cierpliwością zaprawne ich umysły zdołały zachwianéj sprawie szczęśliwie zaradzić. Wysłano więc do odnośnéj władzy deputacyę, do któréj należał Lipski i pozyskano najpierw w osobie ówczesnego radzcy szkolnego ś. p. Brettnera gorliwego i przedsięwzięciu przychylnego zwolennika, który założenie gimnazyum w Ostrowie całą usilnością popierać postanowił, a przez nieustanną pracę i zabiegliwość tego męża inne o całéj rzeczy przekonanie zaczęło powstawać i ustalać się w sferze rządowéj. Gdy oprócz tego na prośby księdza Kompałły i Lipskiego książęta Radziwiłłowie także swém pośrednictwem na rozstrzygnięcie sprawy w Berlinie skutecznie wpłynęli natenczas ministerstwo Oświecenia zezwolenie na wybudowanie gimnazyum w Ostrowie udzieliło z tym warunkiem, aby plan budowy przedłożono i trzy murowane domy na mieszkania dla nauczycieli wystawiono. Wiadomość ta sprawiła mieszkańcom miasta i całéj okolicy niewysłowioną radość.

Skutkiem tak pomyślnego zwrotu sprawy utworzył się teraz stały komitet budową się zajmujący, którego bardzo czynnym i sprężystym członkiem był Lipski.

Po odgraniczeniu miejsca do plebanii należącego i zakupieniu takowego na budowę wzięto się rączo do dzieła. Rejencya zaforszusowała na ten cel najpierw 6000 tal, a następnie jeszcze pewną sumę, a i książęta Radziwiłłowie powtórnie przyczynili się znaczną jeszcze składką do pomnożenia funduszu. Ponieważ zaś spiesznie postępujące roboty około wzniesienia gmachu mimo już złożonych ofiar wymagały nowych, nieustannie więc ksiądz Kompałła i Lipski do składek gorliwie zachęcali jeżdżąc prawie od wsi do wsi i pukając tak do chatek jak do dworów szlacheckich, a na sam widok tych szlachetnych mężów wszędzie wielkiego szacunku i nieograniczonego zaufania doznawających istniejąca już ofiarność jeszcze więcéj się wzmagała. Będąc albowiem bardzo

skromni i umiarkowani dla siebie, a hojni i pobłażliwi dla drugich, posiadali oni wielką miłość i przychylność dla swych postanowień i pomysłów, a gdyby może jakaś małoduszna zawiść dla nasycenia swéj próżności przewodnictwa chciwa w ukryciu się szamocąc pokusiła się była w czemkolwiek zachwiać i osłabić ogólne ku nim zaufanie i wiarę, to musiałaby niebawem uczuć swą bezwładność i niemoc w obec tych, co nie osobistéj sławie, lecz publicznemu dobru rozum, serce i mienie aż do zgonu na usługi oddali. Ponieważ więc za ich gorliwém staraniem składki wpływały, wszystkie roboty około budowy żadnéj nie doznawały przerwy. Ksiądz Kompałła zaś po odprawieniu mszy świętéj i załatwieniu spraw urzędowych codziennie prawie wszystkie wolne chwile przepędzał między robotnikami to ich zachęcając, to im doradzając, a i Lipski czy to słota czy pogoda, to wózkiem, to na swym ulubionym karym koniu drogę do gimnazyum dobrze znającym na miejsce budowy przybywając, troskliwie o wszystko się dopytywał i niejedną cegłę dla przekonania się o jéj trwałości własną ręką podniósł i zewsząd ją obejrzał. A gdy piękny dach na murach się oparłszy wspaniale się wzniósł i na jego szczycie robotnicy swoim zwyczajem wieniec zawiesili, łzy radości zrosiły oblicze Kompałły i Lipskiego, bo ich szlachetnym duszom zdawało się już widzieć łaknącą nauki młodzież zgromadzoną w tym gmachu tylu szczodremi ofiarami wszystkich stanów i pokonaniem niejednéj trudności wystawionym. Lecz ksiądz Kompałła nie doczekał się zupełnego wykończenia budynku, w którym młodzież na chwałę Boga a na pożytek ludzi kształcić się miała; umarł ten czcigodny kapłan dnia 23 stycznia 1843 z wielkim żalem wszystkich bez różnicy stanu i wyznania, a wszyscy księża, którzy na jego pogrzeb nawet z dalekich okolic licznie się zjechali, pieniądze w ilości 3 tal. przez nieboszczyka dla każdego przeznaczone na utworzenie stypendium pod nazwiskiem księdza Kompałły ofiarowali. Po przedwczesnym zgonie swego wiernego przyjaciela i gorliwego spółpracownika głębokim smutkiem dotknięty Lipski, tém większą opieką i nieustanną troską dojrzewające dzieło otaczając i pielęgnując do ostatniéj chwili umiejętnie wszystkiém kierował, a 14 kwietnia 1845 po solenném nabożeństwie w kościele farnym wspaniały budynek jako zupełnie ukończony w imieniu komitetu rządowi przez ś. p. Brettnera reprezentowanemu do publicznego użytku oddając przed gimnazyum w obec licznego zgromadzenia wdzięczność wszystkim za złożone ofiary wynurzył i błogie skutki oświaty w dość długiéj mowie trafnie i przekonywająco wypowiedział.

Poznań, w maju 1870.

H. K. Nieczuja.

ROZMAITOŚCI.

(Handlarz koni. — Z ryciną.) Handlarz koni jest w rolniczém życiu polskiem jedną z najwybitniejszych, nawet powiedzieć można typowych postaci, pojawiających się na widowni ziemiańskiego życia. A jest to koczownik, któremu nie dano zażywać spokoju w zaciszu domowem; włóczy się wiecznie jak cygan; ale podczas gdy cygana jak mogą wypędzają ze wsi, przybycie handlarza końskiego mile się przyjmuje a niekiedy jest wyczekiwanem, upragnionem. Odkąd w ziemiach naszych hodowla koni na własną potrzebę upadła lub jeszcze się ogólnie nie rozpowszechniła, oni to kompletują okulałe fornalki, czwórki zajeżdżane w konkury, dostawiają pod wierzch człapaków hreczkosiejom na dogląd polnych robót, charciarzom wierzchowców na dojeżdżanie poszczuwanych zajęcy, biegunów sportsmenom na zdobywanie laurów wyścigowych.

Na podwórze dworskich zabudowań zajechał długi, szeroki wózek zaprzężony parą koni nie osobliwych; za wózkiem na uździenicach przyczepionych długo do żelaznych kołek u krawędzi tylnéj wasąga, stoi kilka koni na oko okazalszych, lepszych; otóż przybór handlarza. Jeśli bogatszy, za tym ekwipażem prowadzi jeszcze osobno jego masztalerz konno tabun duży, mały, wedle okoliczności, a ledwo stanęli i dwór się dowiedział o ich przybyciu, wychodzi właściciel, przyjaciel domu, sąsiad łaskawy, rzucili towarzystwo, nawet nieukończonego preferansa, żeby obejrzeć, skrytykować końskie nawiedziny. Odbywa się rewię, pojedynkiem przeprowadzają, przejeżdżają, sprzęgają konie w ten i ów sposób; przechwałki handlarza wywołują nagany znawców, a w końcu przychodzi do faciend, zamian lub kupna. Czasem kończy się na przeglądzie; handlarz niczego nie zbędzie i odjeżdża z zawodem, ale jeśli nie co więcéj zabrał przynajmniéj na pakowny wózek wór sieczki, snop słomy, parę garncy owsa.

Handlem koni w Polsce zwykle trudnią się żydki, a rzecz osobliwsza, że choć wielu z ziemian polskich traci majątki na końskie handle, jednak rzadko się zdarza, żeby który z handlarzy końskich na trwałę dorobił się majątku znacznego. Handel końmi jest bardzo niebezpiecznym tak dla trudniących się dostawą jak dla odbiorców.

Szarada.

Piérwsza wzywa do milczenia,
Druga, trzecia walną bywa.
Wszystko zawsze do zgadnienia
A kto piérwszy, ten wygrywa.

Zagadka.

Noszę nazwę czasu i miejsca przestrzeni,
Składam się z godzin, minut, lecz także z kamieni,
Przeżyłam wielu ludzi i mnogie już lata,
A jednak nie istnieję od początku świata,
Założono mnie bowiem przed kilku wiekami,
Gdy jeszcze całość i swoboda była między nami.
Jestem słynna z sejmików za czasów wolności,
I dotąd posiadam pomnik mojéj starości.

(Rozwiązanie szarady w numerze 21: ***Kołobrzeg.***

Korespondencya Redakcyi.

Panu Filipowi. Jak niegdyś Piastowie, o których Pan piszesz, w czasie potrzeby zmieniali oręż na lemiesz i odwrotnie, tak Pan zechciéj pisanie zmienić na czytanie. — Panu A. Z. Bylibyśmy Panu bardzo wdzięczni, gdyby opisy podobne mogły się urzeczywistnić. Przedewszystkiem chcielibyśmy uwzględniać miejscowości naszéj prowincyi, ale brak piszących i artystów na miejscu jest Rubikonem prawie do nieprzebycia. — Panu Narzym. Skutków przyrzeczenia Pańskiego dotąd nie widzimy, a o pospiech chodzi nam bardzo, bo kwestya jest na czasie. — Panu A. O. w Poznaniu. Zniknij w nocnéj mgle (kosza).

Od redakcyi.

Z powodu braku miejsca dalszy ciag sprawozdania z wystawy Kościańskiéj odłożyć zmuszeni jesteśmy do numeru przyszłego.

Panom prenumeratorom, którzy uskarżają się na nieregularny odbiór Sobótki. Administracya Sobótki regularnie co piątek wysyła na prowincyę lub zagranicę wszystkie zaabonowane numery naszego pisma. Jeżeli więc nieregularność jakaś zachodzi, wina jéj leży w źle podanym adresie lub nieakuratności poczty.